

Tango jak życie

Sto lat grzesznego tańca

Artur Górski

Tango to coś więcej niż taniec czy rodzaj utworu muzycznego. To styl życia, ideologia, tętniące źródło namiętności. Tango powraca i to wcale nie jako muzealny eksponat, ale jako taniec, który młode pokolenie Europejczyków – bo dotyczy to bynajmniej nie tylko naszego kraju – uważa za swój własny.

Nieco ponad dziesięć lat temu na światowych listach przebojów królowała *lambada* – taniec o korzeniach latynoamerykańskich, który poprzez swe erotycznie kojarzące się figury miał pełnić taką samą rolę jak niegdyś tango. Tyle że *lambada* była czymś znacznie uboższym – była jedynie „tanecznym aktem płciowym”, odartym z całej namiętności tanga. Bo tango to nie tylko łóżko, ale przede wszystkim walka: zdobywanie kobiety przez mężczyznę, jego dominacja i jej pozorna uległość, uniesienia, zdrady, rozstania i powroty.

I oto w dobie Internetu i wszechogarniającej muzyki techno (w której nie ma miejsca na uczucie, a jest tylko monotonna łomot elektronicznej perkusji), na progu kolejnego tysiąclecia tango triumfalnie powraca na scenę. Gdyby na płycie „NIC NIE BOLI TAK JAK ŻYCIE” **BUDKI SUFLERA** zabrakło przeboju „TAKIE TANGO”, ów album nie okazałby się tak wielkim sukcesem. Bo choć trudno uznać ten utwór za klasyczne tango, to jednak pobrzmiewa w nim ta bolesna nuta, charakterystyczna dla tańca zrodzonego przed 100 laty w Ameryce Południowej. Słowa „i choć będą jeszcze grali, Bóg to jeden wie, nigdy razem na tej sali nie spotkamy się”, doskonale oddają klimat tanga.

TAŃCE OGÓLNONARODOWE

Budka nie była pierwszym polskim zespołem, który postanowił uczynić z tanga rockowy przebój. Wcześniej była **Kora** z **MAANAMEM** („TO TYLKO TANGO”, „ZŁOTE TANGO”), **REPUBLIKA** („NIEUSTANNE TANGO”), w podobnym co Budka czasie napisał tango **Maciej Maleńczuk**. Ale dopiero utwór Romualda Lipki, dzięki swemu popularnemu charakterowi (prościutkiej melodii i łatwo zrozumiałemu tekstowi), stał się tangiem ogólnonarodowym. Niemal tak jak jedyny polski przebój na skalę światową, utwór **Jerzego Petersburskiego** „TANGO MILONGA”, znane za granicą jako „DONNA CLARA”. Słowa Andrzeja Własta do „TANGA MILONGA” też były przekonujące dla mas: „*żegnajcie dawne wspomnienia, żegnajcie burze i serc uniesienia, czas wszystko odmienia*”.

Ale popularność „DONNY CLARY” jest obecnie znikoma – powrót do tanga nie jest równoznaczny ze wzrostem zainteresowania muzyką Petersburskiego. O wiele częściej nucimy współczesne tanga, na przykład „UNDERGROUND TANGO” **Gorana Bregovicia** z głośnego filmu **Emira Kusturicy** „UNDERGROUND”. Swoją drogą ciekawe, dlaczego bośniacki kompozytor, ilustrując film o jugosłowiańskich wojnach, odwołał się do tańca niezbyt popularnego na Bałkanach? Ale jest w tym pewna przenośnia – czyż można innym tańcem tak sugestywnie opowiedzieć o wojnie, tak odmiennych od siebie, stron? Stron, które kiedyś udawały miłość, a teraz walczą, zamieniając się rolami – raz górą jest jedna, a raz druga... Taką samą, alegoryczną rolę, odgrywa ów taniec w najsztywniejszej sztuce

Sławomira Mrożka „TANGO”. „LA CUMPARSITA” (pisarz zaznaczył, że chodzi o ten konkretny utwór) jest tu tańcem tyrańcy i upokorzonego podanego: chamskiego, bezwzględnego Edka i idealisty starej daty Eugeniusza.

Niedawno na deskach łódzkiego Teatru Wielkiego i Operetki Wrocławskiej wystawiano *tango-operetę* „MARIA DE BUENOS AIRES” autorstwa **Astora Piazzoli**. Tę dość nietypową dla polskich scen ofertę publiczność przyjęła z zachwytem. I chyba nie dlatego, że tanga Piazzoli o wiele bliższe są tzw. muzyce klasycznej i wielkim scenom niż południowoamerykańskim kafejkom. Operita argentyńskiego kompozytora dała naszym widzom możliwość obcowania z tangiem najwyższej próby, a nie symfoniczną podróbką muzyki ludowej.

Wiele dobrego dla ponownej popularyzacji tanga uczyniło kino. Choćby hiszpański reżyser **Carlos Saura** kręcąc film o miłości podstarzałego reżysera teatralnego do tancerki „TANGO”. Prawdę mówiąc fabuła jest tu tylko pretekstem do prezentacji przepięknych, wykonywanych w bardzo tradycyjnej formie tańców. Gdyby nie to, że w tym przypadku określenie teledysk brzmi nie na miejscu, film Saura można by określić właśnie jako... teledysk, doskonale promujący muzykę. Dowodem na to jest stosunkowo wysoka – oczywiście w pewnej kategorii – sprzedaż płyt ze ścieżką dźwiękową z „TANGA”.

Filmów, w których ów argentyński taniec gra główną lub jedną z głównych ról, jest zresztą o wiele więcej i one także przyczyniły się do wzrostu zainteresowania tangiem. Choćby „LEKCJA TANGA” **Sally Potter** z 1997 r. – opowieść o pani reżyser, która natchnienia do swej twórczości szuka w tańcu i – a może przede wszystkim – przystojnym argentyńskim tancerzu. Podobnie rzecz się ma z filmową wersją musicalu „EVITA”, z Madonną jako Evitą Peron, w którym tango jest symbolem i Argentyny, i miłości. Jednak zdaniem znawców najpiękniejszą filmową „witryną” tanga jest obraz z 1988 r. pt. „TANGO BAR”; jeden wielki popis najlepszych tancerzy tego gatunku (także pochodzące z archiwum zdjęcia Charlie Chaplina i Freda Astaire’a) oraz najwspanialsze przeboje, na czele z „LA CUMPARSITA”.

Tango było też często znakomitą ilustracją pamiętnych scen w filmach niemuzycznych. O ile uboższy byłby głośny film Jonathana O’Leary’ego „ZAPACH KOBIETY” bez sceny, w której niewidomy pułkownik Frank Slade, grany przez **Ala Pacino**, uczy swego o wiele młodszego przyjaciela Charliego, jak przytulać kobietę w tangu i jak ją subtelnie zniewalać. „Męskie” tango w wydaniu komediowym stanowiło jedną z najgłośniejszych scen filmu „PÓŁ ŻARTEM, PÓŁ SERIO”. Wspaniały klimat do opowieści o płomiennym uczuciu kobiety i mężczyzny tworzy też tango do filmu **Patrice’a Leconte’a** „TANGO”.

Taniec ten jest pięknym tematem dla malarzy, plakacistów – z pewnością jego wielbiciele znajdą sugestywne obrazy argentyńskiej malarki **Nory Alvarez** czy współczesnego artysty z USA – **Marlona Rodi**. Nieco metafizyczny charakter tanga sprawia, że można je prezentować na wiele sposobów: i realistycznie, i za pomocą awangardowej przenośni.

ZE SPELUNY DO SALONU

Tango narodziło w Ameryce Południowej na początku dwudziestego wieku, choć jego korzeni należy raczej szukać w Afryce. To stamtąd na przełomie XVI i XVII wieku docierali na Antyle i do Ameryki Południowej murzyńscy niewolnicy, przywożąc ze sobą cały swój dobytek – muzykę, w tym

taniec *tangano*. Na progu XX stulecia tango stało się ulubionym tańcem proletariatu – tańczono je w podłych spelunkach czy portowych szynkach. Powoli jednak zdobywało coraz więcej zwolenników, także w wyższych warstwach, wchodząc jeśli nie na salony, to przynajmniej do coraz lepszych lokali tanecznych. Choćby do CAFÉ LA GIRALDA w stolicy Urugwaju – Montevideo. To tam w 1917 r. po raz pierwszy orkiestra Roberta Firpo zagrała tango młodzietkiego siedemnastoletniego **Gerarda Matosa Rodrigueza**, które miało przejść do historii jako „LA CUMPARSITA”. Rodriguez nie zdawał sobie sprawy z doniosłości swego dzieła i szybko sprzedał swe prawa autorskie do tanga za... 20 pesos. Dopiero siedem lat później podczas pobytu w Paryżu dowiedział się, że skomponowana przez niego melodia jest wielkim przebojem.

Paryż zresztą był jednym z pierwszych wielkich miast europejskich, które zaaprobowało tango, przy czym już wtedy jego europejska wersja różniła się od argentyńskiej *milongi*. Była nieco wolniejsza i o wiele mniej – jeśli to właściwe określenie – hedonistyczna, choć równie prowokująca. Ale szaleńcza prowokacja ogarnięta była wówczas cała sztuka europejska: powstały „DZIENNIKI” **Anais Nin** z detalicznymi opisami stosunków seksualnych autorki z własnym ojcem i pisarzem **Henry Millerem**; sztuki plastyczne za sprawą fowistów i kubistów odrzucały kanony piękna poprzedniego stulecia; tancerka **Isadora Duncan** zrywała z tradycją klasycznego baletu; projektantka mody **Coco Chanel** kreowała wizerunek nowej, niezależnej kobiety. To jej projekty najbardziej kojarzą się z tancerkami tanga. No, może nie w przedwojennej Polsce, gdzie tango – zamiast zachęcać kobiety do czerpania z miłości pełnymi garściami – wyciskało smętne łzy rozczarowania, szczególnie u gospodyń domowych. Jak pisała już w 1937 r. **Magdalena Samozwaniec**, autorka książki „ŚWIADOME OJCOSTWO”, rodzima babożona, wyczekując wieczorami na swego niechętnie powracającego do domu męża „histeryzuje, reumatyzuje, kobiecuje i wciąż śpiewa polskie tanga”. Bo jak nie „kobiecować”, słysząc słowa dobiegające z patefonu: „*Smutne, samotne jest me życie/ pragnę zapomnieć cudowny sen/ błagam i proszę cię daremnie/ ja ciebie wzywam – wróć szczęście me*”.

GRZESZNE FIGURY

Tango miało w Europie też wielu przeciwników, najwięcej pośród stróżów publicznej moralności. W purytańskiej Wielkiej Brytanii, wciąż jeszcze znajdującej się pod wpływami wiktoriańskiego stylu życia, taniec ten został zakazany w 1907 r. We Francji rzecz miałaby się pewnie podobnie, gdyby nie salonowa ewolucja tanga, które straciło nieco na swym wyzywającym charakterze. Władze Nowego Jorku także niechętnie przyjmowały do wiadomości wzrost popularności tanga tyle, że w Ameryce częściej tańczono inną nowinkę – wolny od erotycznych skojarzeń ragtime.

Pomruk niezadowolenia z nowego tańca dotarł również z Watykanu – papież **Pius X** uznał tango za źródło grzechu. Ale już **Pius XI**, po obejrzeniu tanga w wykonaniu sławnego tancerza **Casimira Ain**, uznał, że jest to prawdziwa sztuka. I ta opinia zamknęła usta wielu kontestatorom.

Na przełomie lat 40-tych i 50-tych tango zaczęło usuwać się w artystyczny cień, ustępując miejsca nowym, przebojowym tańcom – *swingowi*, *boogie*, *rock'n'rollowi*. Wydawało się, że będzie już tylko częścią tanecznego lamusa, jak kadryl, poleczka czy walc wiedeński, przeznaczoną dla koneserów. Tak się jednak nie stało – tango żyło dalej, nie tylko jako taniec, ale również... chwytliwa nazwa. *Tango* – napój gazowany, *tango* – zespół heavymetalowy, *tango* – piłka firmy Adidas,

tango – program komputerowy, *tango* – oddział amerykańskich komandosów – przykłady można mnożyć. Proszę zresztą kilkakrotnie powtórzyć sobie owo magiczne słowo „tango” – brzmi zupełnie inaczej niż walczyk czy sztajerek: ma w sobie jakąś moc i tajemnicę.

O wzroście zainteresowania taniem nad Wisłą świadczyć może to, że liczba uczniów w szkołach tańca, specjalizujących się w tangach europejskich, wcale nie maleje, choć o wielkim wzroście też nie ma co mówić. Polacy – okazuje się – wolą słuchać tanga i oglądać najlepszych tancerzy w akcji, niż stawać na parkiecie. Tym bardziej że do tanga trzeba mieć w sobie „to coś”. Zdaniem szefa jednej z takich szkół **Zbigniewa Wardyńskiego** minęły już setne urodziny tanga, a ono wciąż trwa. Czemu jest popularne? Ponieważ tango nie zostało wymyślone przez choreografów ani mistrzów tańca, lecz jest to naturalny taniec, z naturalnymi ruchami, stworzony przez zwykłych ludzi. Taniec namiętności i czulej delikatności, taniec dominacji i uwodzenia – mówi Wardyński.

Ciekawe, że tango podchwyciły zarówno elity, jak i szary obywatel. Elity pewnie uważają, że w dobie muzyki *dance* sympatyzowanie z taniem jest demonstracją intelektualnej i estetycznej wyższości. A szary obywatel najwyczejniej w świecie wrzuci się przy słowach „TANGA MILONGA”: *„czasem coś w sercu zapłacze/ ozwą się dawne, obłądne rozpacze/ lecz wszystko zgaśnie i minie/ nim z melodią tą wstanie brzask”*.

źródło: POLITYKA (<http://polityka.onet.pl/artukul.asp?DB=162&ITEM=5697&MP=1>)